

# Leon Lubecki

---

## Moje kontakty z prof. Andrzejem Bukowskim

---

Acta Cassubiana 1, 333-352

---

1999

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Leon Lubecki

## Moje kontakty z prof. Andrzejem Bukowskim

Andrzej Bukowski urodził się 30 listopada 1911 roku we wsi Stare Polaszki koło Kościerzyny w rodzinie rolnika Leona i Anny z domu Gołuńskiej, w rodzinie wielodzietnej. Matka jego zmarła w 1915 roku, osierociwszy dziewięcioro dzieci, gdy Andrzej miał dopiero cztery lata. W 1920 roku ojciec jego ożenił się po raz drugi, by dochować się dodatkowo dwóch córek. Najstarszy brat Andrzeja zginął w 1916 roku na froncie rosyjskim jako żołnierz Kaizera Wilhelma, a drugi zmarł w 1920 jako żołnierz polski.

Rolnik Leon Bukowski, wychowując pozostałą gromadkę 5 synów i 4 córki, zdecydował się kształcić tylko Andrzeja. W Starej Kiszewie edukacja mogła polegać na ukończeniu czterech oddziałów jednoklasowej szkoły podstawowej. Andrzej na pewno wyróżniał się i pilnością i zdolnościami, jeśli po szkółce we wsi rodzinnej zdał pomyślnie egzamin wstępny do Państwowego Gimnazjum Klasycznego w Kościerzynie, aby z dniem 1 września 1923 roku rozpocząć tam naukę w pierwszej klasie.

Poznałem go w 1924 roku, gdy 1 września rozpocząłem naukę w pierwszej klasie w tym samym gimnazjum, a Andrzej był już uczniem drugiej klasy. Był to drobny, niski chłopiec, niczym specjalnie nie wyróżniający się od innych poza grzecnością i pewnym zażenowaniem. W ciągu kilku lat poznaliśmy się lepiej. Był dobrym uczniem, ale wśród kolegów nie wyróżniał się jakimiś cechami przywódczymi. Nie kwapił się też, ażeby pomóc kolegom w rozwiązaniu zadania czy przez podpowiedzenie szeptem zapomnianego słówka lub daty.... Nie był też chyba zdolny do jakichś łobuzersko-sztubac-

kich wybryków, a już na pewno nie wykazywał w tej dziedzinie żadnej inicjatywy. Jeśli w jakiejś niewskazanej eskapadzie wziął udział, to raczej trzymał się z boku, za plecami i pod osłoną kolegów. Być może, wynikało to z faktu, że prawie żadnemu z kolegów nie dorównywał siłą fizyczną.

Nie słyszałem, ażeby dyrektor Jan Kontek czy któryś z profesorów wypowiadał jakieś uwagi pod adresem Andrzeja Bukowskiego z powodu niewłaściwego zachowania się. Nie zauważyłem, ażeby brał udział w sporcie, a zwłaszcza w rozgrywkach międzyklasowych w siatkówkę, w koszykówkę, w palanta, w piłkę nożną albo w zawodach lekkoatletycznych. Był natomiast zapalonym kibicem. Z zapałem oklaskiwał sukcesy kolegów ze swojej klasy.

W klasie Andrzeja Bukowskiego było kilku wyjątkowo dobrych uczniów. W czołówce utrzymywał się Andrzej, ale o prymat trzeba było walczyć, co automatycznie połączone było z pilnością i systematycznym przygotowywaniem się do lekcji na dzień następny. Zazdrośni rywale szybko przyczepili mu miano „kujona”... Wśród jego rywali byli: Ambroży Dykier ze Śluzy koło Lipusza, po 1945 roku proboszcz w Sopocie, Piotr Dunajski z Lipusza, późniejszy ksiądz wikariusz parafii Najświętszej Marii Panny w Gdyni, zamordowany 11 października 1939 roku w Piaśnicy, Józef Bruski z Piechowic, po 1945 roku proboszcz w Pruszczu Bagienicy, brat Alojzego Bruskiego, wspańskiego partyzanta i dowódcy oddziałów Armii Krajowej w Borach Tucholskich, zamordowanego 11 października 1946 roku i zamęczonego przez funkcjonariuszy SB we Wronkach.

Ogólnie za największego rywala Andrzeja uważany był Ambroży Dykier. Równie zdolny, a może zdolniejszy od Bukowskiego, typ sympatycznego ucznia łobuza, dla którego nauka była udręką, ale zawsze w czasie lekcji umiał sobie poradzić. Umiał też zabłysnąć mimo woli. Nie zastanawiał się, jakie z jego swawolnych wybryków wynikną konsekwencje.

Zupełnie inna była natura, styl bycia i stosunek do nauki Andrzeja Bukowskiego. Stopniowo i konsekwentnie zyskiwał przewagę nad konkurentami. Był pilny i grzeczny. Starał się przypodobać nauczycielom i w ogóle osobom starszym i ważniejszym. Jednym słowem „umiał się podlizywać i umizgiwać”, jak to określali jego koledzy. W czasie uczniowskich zebrań towarzyskich, np. w czasie zabawy szkolnej, kursu tańca czy huczniejszych imienin, w których uczestniczyły koleżanki z „zakładu”, czyli z gimnazjum żeńskiego prowadzonego przez Siostry Sercanki w Kościerzynie, Andrzejek jako grzeczny chłopczyk był lubiany, ale gdy zapowiedziano „białego walca” lub „białe tango”, do których „panie” prosiły „panów”, grzeczny chłopczyk

często „pietruszkował”. Koleżanki wołały poprosić do tańca partnera typu Ambrożego Dykiera, który umiał dowcipkować, opowiadać kawały lub wymyślać w tańcu figury nie bardzo tolerowane przez władze domowe czy przez personel pedagogiczny. Andrzeja po prostu nie stać było na odrobinę frywolności.

W czasie spotkań towarzyskich czy jakichś zebrań kameralnych lub przyjęć imieninowych starał się zwrócić na siebie uwagę zdolnościami oratorskimi.

Andrzeja Bukowskiego lepiej poznałem, gdy w 1928 roku zamieszkałem w „Bursie Kaszubskiej”, czyli w internacie dla uczniów gimnazjum. Mieszkailiśmy w sąsiednich pokojach. Kierownikiem Bursy był prefekt gimnazjum, ksiądz Józef Grochocki, dosyć surowy, ale dbały o swoich podopiecznych. Wśród lepszych i zdolniejszych uczniów starał się wypatrywać kandydatów na przyszłych liderów: na „seniora” Bursy oraz na prezesa Sodalicji Mariańskiej. Andrzej – jako dobry i pilny uczeń – był przez księdza Grochockiego faworyzowany. Wszyscy przyjmowaliśmy ten fakt z aprobatą.

W gimnazjum kościerskim działały dwie poważne organizacje uczniowskie, cenione przez dyrektora Jana Kontka i przez wszystkich profesorów: Towarzystwo Filomatów im. Tomasza Zana, którym opiekował się prof. Dawid Bruski, i drugie – Sodalicja Mariańska, którą z urzędu dzierżył w swoich rękach ksiądz Józef Grochocki.

Przynależność nie była obowiązkowa. Nie płaciliśmy też żadnych składek. Ambicja nakazywała każdemu lepszemu uczniowi należeć do jednego i drugiego towarzystwa.

Zebrania Towarzystwa Filomatów odbywały się w każdą niedzielę po mszy świętej, w której uczestniczyliśmy obowiązkowo. Przeciętnie do filomatów należało około 36-39 uczniów z klas od piątej do ósmej. Grupowała się tu najbardziej światła i zdolna młodzież naszej szkoły. Zarząd składał się z prezesa i sekretarza. Funkcje te z zasady pełnili uczniowie klasy ósmej, toteż po maturze zarząd automatycznie corocznie ustępował. Na kilka dni przed zakończeniem roku szkolnego odbywały się zawsze wybory nowego zarządu.

To było wydarzenie!

Andrzej Bukowski był bardzo aktywnym działaczem filomatów. Programy wszystkich zebrań zwyczajnych były analogiczne: odczytanie protokołu z ostatniego zebrania, referat, koreferat, dyskusja, sprawy organizacyjne, wolne wnioski, zakończenie przez odśpiewanie jednej zwrotki:

*„Użyjmy dziś żywota,  
wszak żyjem tylko raz !*

*Niechaj ta czara złota  
na wieki wiąże nas.  
Hejże do niej wesole !  
Chwyć w dłoń, niech krąży wkoło,  
A chwyć i do dna chyl  
Zwiastunkę błogich chwil..."*

Referaty i referenci, a także koreferenci, wyznaczani byli wyprzedzająco na kilka tygodni naprzód. Tematyka ustalana była na zebraniu na wniosek zarządu lub właściwego profesora przedmiotu: z literatury polskiej, rzymskiej, greckiej lub francuskiej. Zawsze w zebraniu brał udział właściwy wykładowca: Dawid Bruski, gdy temat dotyczył literatury polskiej, Stanisław Wrębski – literatury rzymskiej, Feliks Kamiński – literatury greckiej, a Edmund Frankowski – literatury francuskiej.

Ambicją każdego z nas było opracować przynajmniej jeden referat i jeden koreferat w ciągu roku szkolnego. Dostyc trudno było dopchać się do drugiego wystąpienia. To była okazja, ażeby zabłysnąć przed profesorami przedmiotów: polskiego, łaciny, greki i francuskiego, no i oczywiście także przed kolegami. Referat musiał być dobrze przygotowany, gdyż koreferent starał się nie zostawić na referencie suchej nitki. Zresztą i słuchacze usiłowali wykazać się swoją wiedzą.

Andrzej Bukowski był bardzo czytany i zawsze przygotowany do dyskusji. Dowodem jego aktywności w Towarzystwie Filomatów może być fakt oceny, jaką zyskał u profesora Bruskiego, jeśli w roku szkolnym 1928/29 jako uczeń 6-tej klasy został wybrany sekretarzem. Tego rodzaju wyjątek zdarzył się tylko raz i automatycznie uitorował mu drogę do funkcji prezesa w następnym roku. Było to znowu unikatowym wypadkiem, ażeby uczeń siódmej klasy piastował funkcję prezesa filomatów, a koledzy z ósmej klasy zostali zdystansowani. Oczywiście, bez problemu Andrzej został wybrany prezesem i w następnym roku szkolnym jako uczeń już ósmej klasy.

Usatysfakcjonowany tym faktem, nie spotykany w dziejach naszego gimnazjum, chyba spoczął trochę na laurach, gdyż życie Towarzystwa Filomatów toczyło się normalnie w tych dwóch latach, bez znaczących osiągnięć. Jedyne ewenementem godnym podkreślenia było opracowanie i wydanie *Jednodniówki Tow. Filomatów* Nr 1 i 2. Każdy z nas starał się opracować jakiś przydzielony mu temat. Oczywiście pan prezes mógł najszerzej rozpychać się swoimi opracowaniami.

W czerwcu 1931 roku przejąłem pałeczkę prezesa filomatów po Andrzeju Bukowskim, który włodarzył przez dwa lata... Miałem przed sobą jeden

rok. Nie chciałem być niżej notowanym prezesem od mojego poprzednika. Ambicja nie pozwalała mi na to. Musiałem więc zabłysnąć... Na jednym z zebrań rzuciłem hasło: ogłaszamy konkurs na przepracowanie *Lilii* Mickiewicza na dramat sceniczny! Okazało się, że pomysłodawca pozostał sam na placu boju. Chyba udało mi się. Oto wysokie gremium: pan dyrektor Kontrk, prof. Dawid Bruski i prof. Małuszyński zdecydowali, że opracowany przeze mnie dramat sceniczny pt. *Lilie* według treści *Lilii* Mickiewicza, oczywiście odpowiednio poszerzony, ozdobiony dodatkowymi wierszowanymi wstawkami i melodiami opracowanymi przez prof. Bruskiego – zostanie wystawiony na scenie „Bazaru” (jedynej w owym czasie sali ze sceną w Kościerzynie). Można sobie wyobrazić, jak byłem podniecony. Prof. Małuszyński podjął się funkcji reżysera, pozostawiając mi zupełnie wolną rękę w doborze aktorów i przyznawaniu im ról. Obsadę dobrałem spośród kolegów z naszej klasy oraz naszych sympatii – znajomych dziewcząt.

Odnieśliśmy ogromny sukces: prestiżowy, finansowy i organizacyjny. Obok reżysera, prof. Małuszyńskiego, całej imprezie serdecznie patronował wykładowca języka polskiego, prof. Dawid Bruski. Dla lepszego zilustrowania ówczesnych stosunków szkolnych pozwolę sobie przytoczyć kilka zdań ze swoich wspomnień (maszynopis pt. *Kręte i wyboiste ścieżki z Borowca do Krakowa*):

*„[...] Dramat „Lilie” oraz aktorzy byli gotowi do wystąpienia na scenie „Bazaru”. Przedstawienie miało się odbyć w następną niedzielę. Któregoś wieczoru w Bursie Kaszubskiej na I piętrze rozległ się wesoły śpiew kilku kolegów z naszej klasy:*

*Stał się cud pewnego razu – łoj....*

*Dziad przemówił do obrazu – łoj....*

*Co się stało? Oto profesor Dawid Bruski zawiadomił mnie, że siostra przełożona, lub inaczej dyrektorka Zakładu, czyli gimnazjum żeńskiego ss. Sercanek, wyraziła życzenie pokazania naszego spektaklu wszystkim swoim uczennicom, ale pod warunkiem, że przedstawienie odbędzie się wyłącznie dla Zakładu. Zapadła decyzja: w następną sobotę organizujemy generalną próbę w pełnej gali: ze wszystkimi elementami technicznymi (błyskawice, grzmoty, stroje, orkiestra itd.) wyłącznie dla Zakładu. Można sobie wyobrazić nasze podniecenie.... Tyle ładnych dziewcząt, które dotychczas mogliśmy oglądać tylko z daleka lub zza firanek!*

*Wszystko odbyło się wspaniale przy burzy oklasków młodej pięknej widowni na zakończenie. Oczywiście, wszyscy aktorzy wyszli za kurtynę i grzecznie się kłaniali...*

*Siostra dyrektorka podeszła do prof. Bruskiego, który obok naszego gimnazjum uczył też języka polskiego w Zakładzie, i poprosiła o przedstawienie jej autora. Byłem mocno speszony i zażenowany, gdy zawołał mnie profesor Bruski. Podeszedłem w stroju pustelnika, bo taką rolę sobie przydzieliłem, z długim kosturem w ręce. Siostra dyrektorka złożyła mi serdeczne gratulacje i podziękowała za wspaniały spektakl, dodając: »zgodziłam się, ażeby moje dziewczęta obejrzały te sztuki, gdyż w czasie moich szkolnych lat próbowałam „Lilie” przepracować na dramat sceniczny. Nie udało mi się i musiałam zrezygnować. Panu się udało wspaniale. Jeszcze raz gratuluję...«. Można sobie wyobrazić, jak poczerwieniałem z wrażenia, zwłaszcza przy sztucznej białej peruce i brodzie...*

*Właściwe przedstawienie odbyło się następnego dnia, w niedzielę. Udało się wspaniale przy sali wypełnionej po brzegi. Nie było już żadnych miejsc, nawet stojących. Spóźnieni stali w korytarzu. Tym razem chyba zdystansowałem swojego poprzednika. Okazał się jednak dżentelmenem. Dowiedziawszy się o naszym sukcesie, przysłał mi gratulacje z Włodzimierza Wołyńskiego, gdzie po maturze odbywał jednoroczną służbę wojskową w Szkole Podchorążych Rezerwy Artylerii.*

*Dzięki pieniądzom zdobytym ze wstępów na nasze przedstawienie „Lilii”, postanowiłem zrewanżować się po dżentelmeńsku Andrzejowi. Nie zmieniając ani układu, ani tekstu „Trzeciej jednodniówki Filomatów”, przygotowanego w poprzedniej kadencji, przekazałem ją do druku. Było tam też moje opracowanie pt. „Co dali nam starożytni Grecy i Rzymianie” (podtekst: „Wpływ literatury greckiej i rzymskiej na polską twórczość literacką”). Jak mi wiadomo, z mojego opracowania przy maturze korzystały i koleżanki z Zakładu, i koledzy z naszego gimnazjum przez dwa czy trzy lata pod rząd. Tak się jakoś zdarzyło, że podobny temat się powtarzał.*

*Jednodniówka ukazała się drukiem na przełomie 1931/32. Jedyne zachowane egzemplarze dałem Andrzejowi w prezencie pod koniec 1970 roku”.*

Równoległe poważną pozycję obok Towarzystwa Filomatów – jak już wspomniałem – zajmowała Sodalicja Mariańska. Włodarzył w niej ksiądz Józef Grochocki. W latach 1929-1932 liczyła przeciętnie około 38-40 członków. Zadaniem tej organizacji było szerzenie kultu maryjnego, pogłębianie życia religijnego wśród młodzieży gimnazjalnej i w ogóle dbanie o nabożny styl postępowania. Motywy, którymi kierowali się chłopcy, wstępując do sodalicji, były następujące:

– wzgłędy ideologiczne,

– chęć przypodobania się księdzu prefektowi, który patrzył łaskawszym okiem na ucznia – członka sodalicii,

– niektórym z nas satysfakcję dawał fakt, że może należeć do organizacji, która korzeniami swymi sięgała XVI wieku.

Ogólnie mówiąc, Sodalicja Mariańska w gimnazjum kościerskim grupowała w swoim gronie młodzież najlepszą, chętną do pracy społecznej, religijną, zdyscyplinowaną. Zarząd wybierany był zawsze na początku roku szkolnego, w zasadzie spośród uczniów ósmej klasy, oczywiście zgodnie z dyspozycjami księdza Józefa Grochockiego.

Prezesem w roku szkolnym 1930/31 był Andrzej Bukowski, a w roku 1931/32 prezesem byłem ja. W ciągu tych dwóch lat sodalicja doszła do największego rozkwitu, głównie dzięki ogromnemu zaangażowaniu księdza Józefa Grochockiego i dwóch kolejnych prezesów, którzy jak gdyby w ramach współzawodnictwa organizowali okazjonalne wieczornice i przedstawienia o treści religijnej na scenie „Bazaru”, z możliwością szerokiego dostępu społeczeństwa kościerskiego. Na przełomie 1930/31 roku wystawialiśmy sztukę o św. Stanisławie Kostce. Tytułu nie pamiętam. Andrzej grał rolę czołową – św. Stanisława Kostkę. Zebrał duże oklaski nie za deklamację, ale za iście świątobliwe zachowanie się na scenie. Prawdziwy „Jezusek”, jak sklasyfikowali koledzy...

Odnaką godności i władzy prezesa Sodalicii Mariańskiej był złoty łańcuch z medalionem zawieszany na szyi w czasie każdego zebrania i różnych uroczystości, w czasie których reprezentowana była Sodalicja Mariańska. Gdy w początku lat sześćdziesiątych pokazałem Andrzejowi zdjęcie grupowe, na którym jego osoba stanowi centralną postać ze złotym łańcuchem na szyi w gronie biskupa Dominika, kanonika Krysińskiego, ks. prefekta Grochockiego oraz około 40 sodalistów, był bardzo speszony i niezadowolony. Być może dlatego, że zdjęcie przechodziło z rąk do rąk pomiędzy około 20 obecnymi osobami. Dopiero wówczas zdałem sobie sprawę ze znaczenia słów naszego kolegi szkolnego, księdza Jana Renka z Lipusza, mojego przyjaciela, którego odwiedziłem w początku lat pięćdziesiątych w Parchowie, gdzie był proboszczem. Powiedział mi dosłownie: „Andrzej Bukowski jest wojującym z Kościołem działaczem lewicowym i rządowym...”. Nie bardzo w te słowa wierzyłem, przecież Andrzej był zapalonym członkiem sodalicii...

W czerwcu 1932 roku, po maturze naszej klasy, kapral podchorąży A. Bukowski przysłał na moje ręce gratulacje dla mnie i wszystkich moich kolegów. List nadszedł ze Szkoły Podchorążych Rezerwy Artylerii we Włodzi-



mierzu Wołyńskim. Odtąd praktycznie straciłem z Andrzejem kontakt aż do lata 1959 roku, gdy w Kościerzynie odbył się zjazd absolwentów naszego gimnazjum. Był już wówczas docentem, doktorem i rektorem Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Gdańsku. W czasie uroczystości zjazdowych trzymaliśmy się razem. Był miły, koleżeński, pewny siebie, nieco protekcyjny w stosunku do niektórych kolegów, ale wyraźnie stronił od naszego wychowawcy, ks. prałata Józefa Grochockiego, ówczesnego rektora Wyższego Seminarium Duchownego w Pelplinie, i od księdza prałata Szczurowskiego, naszego starszego kolegi z gimnazjum, wówczas już proboszcza w Kościerzynie. Po uroczystościach oficjalnych w dawnym gmachu naszego gimnazjum przy ulicy Strzeleckiej w Kościerzynie, w znanej nam auli na pierwszym piętrze, odbyła się bardzo udana wspólna zabawa taneczna. Duże różnice wieku pomiędzy uczestnikami nie stanowiły przeszkody. Bukowski trzymał się naszej grupy byłych rówieśników z siódmej i ósmej klasy z lat 1930-1932. Dotrzymywali nam towarzystwa również dwaj księża: ks. Józef Bruski, proboszcz z Pruszcza – Bagienicy, i Bronisław Czapiewski, proboszcz w Kołczygłowach. W miłym nastroju, podochoceni nieco alkoholem, bawiliśmy się do rana i w stylu uczniów gimnazjalnych z lat trzydziestych. Andrzej zachowywał się nieco protekcyjnie – z uśmiechem pobłażania przyglądał się naszym frywolnym wybrykom, ale po koleżeńsku i grzecznie. Być może, że nie potrafił, czy też nie chciał nawet na kilka godzin zniżyć się ze z trudem osiągniętego tronu rektorskiego do naszej sztubackiej ziemi, na której niespodziewanie znaleźliśmy się o trzydzieści lat „młodszy”!

W czasie obiadu pokazałem Andrzejowi upoważnienie wystawione mi przez Wojskowy Instytut Historyczny, upoważniające mnie do zbierania materiałów dotyczących ruchu oporu na Pomorzu Gdańskim w okresie okupacji hitlerowskiej. Bardzo się tą sprawą zainteresował, a nawet – powiedziałbym – zapalił się do współpracy ze mną w tej dziedzinie. Zaprosił serdecznie do spotkania u niego w domu w Gdańsku Wrzeszczu przy ulicy Tuwima 21. Po kilku dniach odbyliśmy bardzo konstruktywną, kilkugodzinną rozmowę na wiele tematów, głównie jednak o możliwościach odtworzenia zaniedbanych dziejów TOW „Gryf Kaszubski” – TOW „Gryf Pomorski”. Pan rektor bardzo się zapalił do tego zagadnienia i bardzo gorąco zachęcał mnie do tej bardzo trudnej na owe czasy i benedyktyńskiej pracy upartego szperacza. Solennie zobowiązał się do publikowania efektów moich poszukiwań.

Od tego dnia mocno zacieśniła się nasza odnowiona przyjaźń i współpraca. Zacieśniły się nasze kontakty towarzyskie. Zżyły się nasze rodziny pomi-

mo ogromnej odległości z Krakowa do Gdańska. W znacznym stopniu była to zasługa przemiłej Pani mgr Ewy Bukowskiej. Dzieci nasze były rówieśnikami, a więc organizowaliśmy dla nich wielokrotnie wspólne wakacje.

Gdy dorosły, a nieodżałowanej pamięci Pani Ewa odeszła na wieczną wartę, pole naszych kontaktów nieco się zmniejszyło, jednakże z Andrzejem pozostawałem bez przerwy w przyjacielskich i bardzo bliskich kontaktach do ostatniej jego ciężkiej choroby w sierpniu 1996 roku.

Zachęta i propozycja z 1957 czy 1959 roku w sprawie ruchu oporu na Pomorzu Gdańskim bardzo mi odpowiadała, gdyż w tym okresie na zlecenie Wojskowego Instytutu Historycznego MON zbierałem z tej dziedziny materiały. Mój przyjaciel był dla mnie nieustającym i bezwzględny motorem, „belfrem” i żyłą, ale jednocześnie życzliwym opiekunem. Stałem się upartym i nienasyconym szperaczem. W owym czasie był kompletny brak materiałów źródłowych, a prawie niemożliwy był dostęp do tych, które gdzieś tam głęboko były zamelinowane. Zresztą same problemy TOW „Gryf Pomorski” czy innych organizacji konspiracyjnych na Pomorzu Gdańskim, a zwłaszcza ich popularyzowanie i nagłaśnianie, były najzwyczajniej „tłamszone”. Po prostu władze PZPR zabraniały poważniejszych publikacji na ich temat. Oczywiście oficjalnego zakazu nie było, ale panowała ogólna obstrukcja w dostępie do dokumentów.

Zachęcony przez Andrzeja Bukowskiego, uzbrojony w upoważnienie WIH MON, wykorzystując każdą wojną chwilę, przemierzałem setki kilometrów po Pomorzu Gdańskim: pociągami, samochodami, rowerem, furmanką konną, a nawet pieszo. Gonilem za nazwiskami. Każdy żyjący świadek z konspiracji antyhitlerowskiej był dla mnie źródłem informacji o miejscu zamieszkania, często przybliżonego, innych uczestników ruchu oporu. Wielu z nich miało już za sobą katorgę NKWD czy UB, a nawet wyroki sądowe. Za co? Za to, że odważyli się działać przeciw hitlerowskiemu okupantowi w AK, TOW „Gryf Pomorski”, THH czy innej organizacji konspiracyjnej w latach 1939-1945, a nie chcieli przejść do współpracy przeciw swoim kolegom na rzecz NKWD czy UB...

Wiele osób nie chciało w ogóle rozmawiać na temat swojej przeszłości i działalności w ruchu oporu. Mało tego, były wypadki, że niektórzy bardziej wystraszeni przestrzegali przede mną swoich byłych kolegów. W Kaliszu Kaszubskim czy w Dziemianach, dokładnie nie pamiętam, wpadł w moje ręce „gryps” (mała karteczka) z następującą treścią: „[...]uważaj. Po wsiach jeździ i chodzi jakiś major Lubecki, który dopytuje się o naszych kolegów. Nie wiadomo, jakie ma zamiary...”

Cennym źródłem informacji było archiwum sądowe, do którego udało mi się dobrać dzięki „przyjacielskim prezentom”. Przeprowadziłem tysiące rozmów z byłymi uczestnikami ruchu oporu, spisałem setki relacji, które przepisywałem na maszynie, a następnie uwierzytelniałem autentycznymi podpisami relacjonujących. Jedni podpisali bez problemu tekst swojej relacji, inni zatrzymywali maszynopis dla lepszego zapoznania się z treścią, w niektórych wypadkach nie zwracali, a nawet żądali przekazania im brudnopisu. W ten sposób stosunkowo łatwo udawało mi się rozgraniczyć fantazję od prawdy... Szereg relacji i wydarzeń przedstawionych przez kilku członków organizacji konspiracyjnej konfrontowałem, organizując wspólne spotkania. Były niekiedy bardzo burzliwe, omal nie kończące się bójką. Tak było w Starym Ratuszu Gdańskim, gdy udało mi się zebrać wykonawców wyroku śmierci na Józefie Gierszewskim („Rysiu”) i skonfrontować ich relacje z innymi członkami TOW „Gryf Pomorski”.

Dzięki pomocy Andrzeja udało mi się nawiązać kontakt z pracownikami KW PZPR w Gdańsku, dzięki czemu umożliwiono mi dostęp do niektórych dokumentów dotyczących ruchu oporu znajdujących się w tamtejszym archiwum, a także tą samą drogą do niektórych akt w Komendzie Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej.

Przekazałem kilka tomów oryginalnych dokumentów, uwierzytelnionych odpisów i relacji do WIH MON. Stale dopingowany przez prof. Bukowskiego, opracowałem ogólną syntezę konspiracji pomorskiej dla MON pt. *Ruch oporu na Pomorzu Gdańskim w latach 1939-1945*. Z inicjatywy i na jego życzenie opracowanie poszerzyłem i zreferowałem na posiedzeniu Zakładu Kaszuboznawczego WSP w Gdańsku w marcu 1960 roku. Przy dużej frekwencji pracowników naukowych i wielu nieznanymi mi osobom spoza uczelni przedstawione przeze mnie dzieje, głównie TOW „Gryf Pomorski”, wywołały pewne zaskoczenie, ale też ożywioną dyskusję i wiele pytań. Zapadła decyzja, ażeby opracowanie opublikować w Gdańskich Zeszytach Humanistycznych. Pan rektor Bukowski był wniebowzięty. Temat *Ruch oporu na Pomorzu Gdańskim w latach 1939-1945* zostanie opublikowany wśród prac Zakładu Kaszuboznawczego, którego był kierownikiem!

Tymczasem trzeba było stoczyć długą i niespodziewaną batalię, ażeby treść wygłoszonego referatu mogła publicznie ujrzeć światło dzienne. Pomimo że w zebraniu Zakładu Kaszuboznawczego w marcu 1960 roku brał udział przedstawiciel KW PZPR Edmund Jakubiak, który w dyskusji bardzo pozytywnie ocenił przedstawione opracowanie, Andrzej Bukowski przez cały rok nie mógł przełamać oporu wydziału propagandy KW PZPR sprzeciwiającego

się tej publikacji. Oficjalnymi argumentami były rzekomo fakty, że ani Zarząd Propagandy i Agitacji Głównego Zarządu Politycznego Wojska Polskiego nie umieścił żadnej wzmianki o ruchu oporu na Pomorzu Gdańskim w swojej oficjalnej broszurce pt. *Polski ruch narodowo wyzwolénicy w latach 1939 - 1945*, ani Komisja Historyczna Polskiego Sztabu Głównego w Londynie w zbiorowym opracowaniu pt. *Polskie siły zbrojne w II wojnie światowej* nie uwzględniła pomorskiego ruchu oporu. Dopiero później wyszło szydło z worka. Oto Edmund Jakubiak, z pewnością w porozumieniu i za zezwoleniem swoich przełożonych z KW PZPR, w międzyczasie przygotował do druku artykuł pt. *Zarys działalności TOW GP*, który przekazał w styczniu 1961 roku do tomu 5 *Najnowszych dziejów Polski* wydanych przez PWN. Druk ukończono w sierpniu 1961 roku.

Nagle we wrześniu tego roku padła bariera: przystąpiono do druku rocznika 1/2 „Gdańskich Zeszytów Humanistycznych”, w którym na czołowym miejscu znalazł się mój prawie 70-stronicowy artykuł pt. *Ruch oporu na Pomorzu Gdańskim w latach 1939-1945*.

Andrzej Bukowski bardzo przeżywał swoją chwilową niemoc. Bardzo często informował mnie o swoich poczynaniach w celu przełamania bariery. Wielokrotnie interweniował u I Sekretarza KW PZPR, Jana Ptasieńskiego. Wszystko na nic... Nieoficjalnie dowiadywał się, że popularyzacja konspiracji kaszubskiej to przejaw regionalnego nacjonalizmu.

Andrzej bardzo nad tym bolał. Wydaje się, że to pokątnie i nieoficjalnie szemrane antykaszubskie stanowisko aparatczyków KW PZPR w Gdańsku nastawiało go do pozorowania swojego negatywnego stosunku do Zrzeszenia Kaszubskiego. Wielokrotnie żalił się wobec mnie, że władze partyjne systematycznie odsuwają Kaszubów od wszystkich ważniejszych stanowisk, a w KW PZPR nie ma ani jednej osoby pochodzenia kaszubskiego. „Jest podobna sytuacja, jak w okresie międzywojennym” – mówił. „Trzeba wszystko robić, ażeby nie dopuścić do zniszczenia dorobku pojedynczych osób i całego społeczeństwa kaszubskiego”. Wydaje się, że sam konsekwentnie trzymał się tej dewizy. Stałe uparcie dążył do eksponowania nawet drobnych osiągnięć, jeśli tylko mogły stanowić przyczynek do upamiętnienia dziejów Kaszub i kaszubszczyzny. 30 maja 1961 roku, dzięki niewątpliwej zasłudze Andrzeja Bukowskiego, w czasie posiedzenia Zakładu Kaszuboznawczego przedstawiłem swoje opracowanie pt. *Harcerze Wybrzeża w walce z okupantem w latach 1939-1945*. W efekcie opracowanie to ukazało się w 1963 roku w „Gdańskich Zeszytach Humanistycznych” wśród prac Zakładu Kaszuboznawczego.

W ten sposób mój nieoceniony przyjaciel uparcie podnosił kurtynę zasłaniającą dotychczas dosyć szczelnie życie konspiracyjne i patriotyzm ofiarnej i bohaterskiej ludności pomorsko-kaszubskiej, broniącej się dzielnie przed zagładą ze strony nacjonalistów hitlerowskich. Zaczęły się w konsekwencji ukazywać lepsze i gorsze, mniejsze i obszerniejsze publikacje, głównie dotyczące TOW „Gryf Pomorski”. Pracownik KW PZPR dosyć wysokiej rangi przystąpił do pracy magisterskiej na temat ruchu oporu na Pomorzu Gdańskim w okresie okupacji hitlerowskiej. Z inspiracji Andrzeja, nie przesadzę, jeśli użyję określenia „dużo”, pomogłem pewnemu „towarzyszowi” w napisaniu jego pracy dyplomowej.

W swej pasji twórczej w kierunku popularyzacji pomorskiego ruchu oporu dotarł on nawet do I Sekretarza KW PZPR, który za namową Andrzeja zgodził się przemyśleć problem i napisać na ten temat swoje uwagi. Autor, zasłaniając się kryptonimem „Leszek Sławomirski”, już przez samo przyjęcie tematu użył niejako swojego klucza do otwarcia kurtyny zasłaniającej dotychczas światło dla popularyzacji pomorskiego ruchu oporu. Rozprawa pt. *Niektóre aspekty ideowo-polityczne ruchu oporu na Pomorzu Gdańskim* ukazała się w „Gdańskich Zeszytach Humanistycznych”, tym razem jako produkt Wydziału Humanistycznego WSP. „Leszek Sławomirski” na przeszło 50 stronach treści nafaszerowanej nieco duchem PZPR – polemicznie, ale raczej dosyć pozytywnie – odsłonił szereg fragmentów ruchu oporu na Pomorzu Gdańskim. Oczywiście redaktorem był Andrzej Bukowski.

W 1965 roku w „Gdańskich Zeszytach Humanistycznych” wśród prac pomorzoznawczych z inspiracji Andrzeja na drugim miejscu ukazało się moje opracowanie pt. *Niektóre walki partyzantów kaszubskich z okupantem hitlerowskim*.

Nie przesadzę, jeśli stwierdzę, że w tym trudnym okresie czułem się w swoim żywiole. Tylko dzięki ogromnej pracowitości, uporowi i bezwzględnemu zaangażowaniu mógł podołać obowiązkowi rektora WSP, redaktora naczelnego „Rocznika Gdańskiego”, „Gdańskich Zeszytów Humanistycznych”, kierownika Zakładu Kaszuboznawczego, pedagoga i wykładowcy oraz autora swoich licznych prac naukowych. Nie przesadzę też, jeśli stwierdzę i podkreślę, że ogromną pomoc w tym czasie okazywała mi jego nieodżałowanej pamięci przemiła i zawsze pogodna małżonka, Pani mgr Ewa Bukowska, z domu Drachowska, polonistka, koleżanka ze studiów w Poznaniu. Zmarła 19 maja 1975 roku.

Ze wzruszeniem dziś przeglądam i czytam dedykacje sprzed lat wpisane do wielu swoich prac przekazywanych mi przez Andrzeja sukcesywnie.

Oto niektóre z nich:

– „Na pamiątkę dawnej współpracy w Towarzystwie Filomatów w Kościerzynie Leonowi Lubeckiemu – Autor. (*Kult Adama Mickiewicza na Pomorzu*).

– „Kol. Lubeckiemu, który w Krakowie nie zapomniał o swoim rodzinnym Pomorzu – w upominku 30.02.1960 – autor” (*Lata 1905-1907 na Pomorzu Gdańskim*).

– „Proszę przyjm, Leonie, tę książkę jako owoc wieloletnich moich studiów – z życzeniem jak najlepszych wyników w Twoich badaniach nad ruchem oporu na Pomorzu w tragicznych latach 1939/45. – Gd. 20.02.60 – Andrzej Bukowski” (*Pomorze Gdańskie 1807-1850*).

– „Drogiemu Koledze, Leonowi Lubeckiemu, na pamiątkę odnowienia dawnych wspomnień z gimnazjum kościerskiego – Andrzej B.” – (*Regionalizm Kaszubski – Ruch naukowy, literacki i kulturalny* – 20 lutego 1960 roku).

– „Kochanemu Leonowi Lubeckiemu z gorącymi życzeniami dalszych sukcesów w Jego badaniach nad ruchem oporu na Pomorzu Gdańskim – autor, Gdańsk 18.08.1962” (*Działalność literacka i społeczna Hieronima Derdowskiego w Ameryce*).

– „Drogiemu Leonowi Lubeckiemu, fanatycznemu badaczowi ruchu oporu na Pomorzu – w dowód uznania – Andrzej Bukowski – Gdańsk w sierpniu 1964 r.” (*Pomorze Gdańskie w powstaniu styczniowym*).

– „Drogiemu Przyjacielowi Leonowi Lubeckiemu – autor tej skromnej książeczki – A. Bukowski” (*Józef Wybicki w świetle obchodów jego rocznicy i sesji Gdańskiego Towarzystwa Naukowego*).

– „Serdecznemu Przyjacielowi i Koledze z kościerskich czasów, Leonowi Lubeckiemu – autor – 25/26.XII.1979r.” (*Literatura Kaszubów i o Kaszubach*).

– „Z okazji spotkania Kolegów Maturzystów Kościerskich z 1932r. na pamiątkę 7-8.VII.1978r. A. Bukowski” (*Juliusz Krasiewicz 1929-1985 Pionier Polskich Kółek Rolniczych*).

– „Drogiemu Leonowi Lubeckiemu – Gdańsk 10 X 1980 r. A. Bukowski” (*Pamiętnikarze Pomorscy w epoce zaboru pruskiego*).

– „Leonowi Lubeckiemu – Andrzej XII 89 r.” (*Sercem na ugorze*). Dedykacja napisana obcą ręką, prawdopodobnie ręką asystentki, tylko podpis jest autentyczny.

– „Serd. Przyjacielowi Leonowi Lubeckiemu autor A. Bukowski 20.08.1993r.” (*Za drutami oflagów*). Litery dedykacji napisane nieskładną ręką Andrzeja, jak gdyby w ciemności...

– „Leonowi Lubeckiemu pod choinkę 1994 z najlepszymi życzeniami - Andrzej” (*Listy Bernarda Sychty 1937-1982*). Życzenia napisane wyraźnie obcą – chyba kobiecą – ręką asystentki, a tylko podpis jest autentyczny Andrzeja, ale już nieskładny.

W tym okresie mój przyjaciel stracił prawie całkowicie wzrok. Czytał z trudnością przy użyciu bardzo silnej lupy. Pisał w ten sam sposób, z trudem „gryzmolił” tylko pojedyncze słowa, aczkolwiek na odległość poznawał pojedyncze osoby. Spotykaliśmy się, starym zwyczajem przynajmniej raz w roku w czasie moich przyjazdów na Wybrzeże albo u niego w domu, albo u mojej siostrzenicy w Gdyni, czy też u naszego wspólnego kolegi i przyjaciela, b. dyrektora Liceum Ogólnokształcącego w Sopocie, mgr. Jana Gruchały. Bardzo bolał z powodu swojego kalectwa. A mimo to był ciągle nienasycony wiedzy.

Miał rozliczne plany. Ciągle o nich opowiadał i w czasie naszych spotkań, i w korespondencji. Niestety jego chyba bardzo poszerzyło się w okresie przechodzenia na emeryturę. Podziwu godną była życzliwość władz Uniwersytetu Gdańskiego : przydzielono mu stałą asystentkę do pracy w domu, a w ostatnich latach zatrudniał nawet dwie asystentki dziennie po dwie godziny przed południem i dwie godziny po południu. Wówczas już opłacał je z własnych środków. Jak mi opowiadał, asystentki czytały mu niektóre teksty i korespondencję oraz oczywiście pisały teksty pod jego dyktando.

W sierpniu 1993 roku przekazał mi swoją ostatnią poważniejszą pracę *Za drutami oflagów*, prosząc jednocześnie, ażebym jako oficer frontowy napisał mu swoje uwagi na temat tej książki. Wielokrotnie mnie ponaglał. Miałem swoje krytyczne uwagi obok pozytywnych, dlatego nieco się krępowałem. Wreszcie przekazałem mu szczerze wszystkie myśli, które mnie nachodziły w czasie tej lektury. Okazało się, że mój przyjaciel bardzo się na mnie początkowo pogniewał. Wkrótce jednak dyskutowaliśmy już rzeczowo.

Zamiast opisu pozwolę sobie przedstawić pełny tekst mojego listu:

*„Drogi Andrzej,*

*Może nie uwierzysz, ale z dużym zainteresowaniem i bardzo dokładnie przestudiowałem Twoje dzieło „Za drutami oflagów”. Przechodząc w myślach razem z Tobą kolejne etapy i dni Twojej Odyseii kolejne miesiące i lata, a w nich w zasadzie spokojny przebieg wydarzeń obozowych, wśród których najpoważniejszymi były translokacje z Brunschweigu do Wolndenburgu i do Murnau, a rewizje te to były kurtuazyjne wizyty w porównaniu z rewizjami gestapo czy KGB. Nie byłem w stanie powstrzymać się od porównania warunków byto-*

wych i bezpieczeństwa osobistego „u nas” i „u was” w czasie tych ponurych dni okupacji hitlerowskiej czy sowieckiej. W końcu doszedłem do zaskakującego wniosku: szczęściem dla tysięcy oficerów – inteligentów polskich był fakt, że znaleźli się „za drutami oflagów”....

Tam straty bezpowrotnie były znikome, gdy tymczasem wśród takiej samej warstwy ludzi pozostającej na tzw. „wolności” wielokrotnie większe liczby przechodziły gehennę w więzieniach KGB, gestapo, w obozach koncentracyjnych, w łagrach syberyjskich, ginęły z głodu w tajdze syberyjskiej lub też były bestialsko mordowane.

Dla Was działalność bojowa w sensie fizycznym skończyła się, gdy znaleźliście się „za drutami oflagu”, dla nas – już od pierwszego prawie dnia po upadku Polski toczyły się boje z ciemieżcami w różnej postaci. Oczywiście, mam na myśli tę ogromną większość Polek i Polaków, którzy nie uznali niewoli i nie przestali walczyć z bronią w rękę lub w innej formie.

Gdyby te miliony Polek i Polaków były mogły obejrzeć wigilię za drutami oflagów przedstawioną przez Ciebie, stwierdziłyby chyba, że to sielanka w porównaniu z tym, co działo się na wolności: na Pomorzu, na Śląsku i w Poznaniu.... Od pierwszych dni okupacji trwała ogólna żałoba po dziesiątkach tysięcy pomordowanych przez gestapo, aresztowanych, torturowanych, osadzonych w obozach zagłady, wywiezionych na roboty przymusowe do Reichu lub do tzw. Generalnego Gubernatorstwa.

Pod zaborem ZSRR postrach szerzyła wszechwładza KGB, funkcjonariuszy partyjnych i milicji ukraińsko-żydowskiej: bezkarne zabieranie mieszkań, aresztowania na ulicach, w miejscach pracy lub po nocach w domach....

We wszystkich miejscowościach przy nowej granicy rosyjsko-niemieckiej setki tysięcy tzw. uciekinierów z „września” – starych, młodych i dzieci usiłujących przedostać się w jakiś sposób przez granicę sowiecką na stronę niemiecką – do „domu”... Tysiącami w mrozie i śniegu koczowali po korytarzach, w byle jakich szałasach, na ulicach wśród głodu, brudu, chorób, obok leżących zmarłych, którymi nikt się nie interesował. Tak było w Przemyślu, co na własne oczy oglądałem... Marzeniem wszystkich było przejść granicę... Co noc w czasie zawiei śnieżnej grupy ludzi z małymi dziećmi usiłowały przejść w bród lub po lodzie rzekę San na stronę niemiecką. Wojsko rosyjskie lub straż graniczna strzelała do uciekinierów jak do kaczek, a złapanych pakowano do świńskich wagonów, oczywiście nie ogrzewanych, i wywożono na Sybir. Małe dzieci zamrożone lub zmarłe wyrzucano z wagonów w czasie jazdy pociągu. Niezależnie od tego wywóz (deportacja) na Sybir całych rodzin i całych miej-



scowości trwał przez całą zimę 1939/40 przy 39-stopniowym mrozie i przy ogromnych zaspach śniegu.

Panował ogromny głód. Możliwości kupna chleba na kartki mieli tylko ci, którzy mogli wylegitymować się zaświadczeniem pracy. Do mojego mieszkania dwupokojowego z kuchnią, w którym aktualnie mieszkało 5 osób, dokwaterowano nam 2 oficerów, a do kuchni bez pardonu pchał się jeszcze podoficer Armii Czerwonej z żoną i z dzieckiem. W tych warunkach przystąpiłem do pracy na kolei. W drugiej połowie grudnia „oswobodziciele” „wymacali”, że jestem oficerem, jakkolwiek nigdzie się nie zarejestrowałem. Natychmiast politkomissar Pokussajew zwołał wszystkich pracowników „wagzała Peremysła” na mityng. Wygłosił „patriotyczne” przemówienie o konieczności zachowania czujności przed wrogiem „ludu”, a pomiędzy nas wkradł się polski oficer, krwiopijca, syn pomieszczyka....

– Kto jest za natychmiastowym zwolnieniem tego niebezpiecznego wroga?

Oczywiście nikt nie odważył się sprzeciwić. Wszyscy głosowali za natychmiastowym zwolnieniem „wroga”. Pokussajew rzucił natychmiast pytanie:

– „Wy znajecie, kto on takij?” – Cisza. Polacy czekali przerażeni, Rosjanie stali obojętni. Pokussajew rzucił gniewnym wzrokiem i ryknął w stronę grupki Polaków: – „Wot wasz kalega, Lubecki!”

Po kilku minutach przestałem być pracownikiem „wagzała”. Zmienił mnie podchmielony Rosjanin. Ale zanim do mnie dotarł, życzliwa telefonistka – Polka zdążyła poinformować mnie, co się stało.

Chroniąc się przed KGB i przed wysłaniem mnie i mojej rodziny na Sybir, w pierwszej chwili uciekłem i skryłem się wśród setek tysięcy uciekinierów. Ale to nie było rozwiązaniem. I beze mnie zabiorą moją żonę z półtoramięsięcym synkiem. Wróciłem do domu, czekając na najgorsze. Może wigilię spędzimy w świńskim zimnym wagonie w drodze na Sybir. Uciekać? W tych warunkach – dokąd?

Spakowaliśmy więc najniezbędniejsze rzeczy i trochę żywności dla dziecka. Ale co można było wziąć? Prawie nic. Tylko to, co się zmieściło w ręku. Wiedzieliśmy, że na nic nie pozwalają. Czekaliśmy każdej nocy na dobijanie się funkcjonariuszy NKWD do drzwi. Z niewiadomych powodów nastąpiła przerwa w wywożeniu w nieznaną....

Tak w niepewności czekaliśmy co noc do połowy kwietnia 1940 r., gdy gruchnęła wieść: komisja niemiecka będzie wydawała przepustki uprawniające do przejścia przez San do Strefy Niemieckiej.

*Karkołomnych sztuk trzeba było dokonywać, ażeby zdobyć przepustkę. Kandydatów było kilka setek tysięcy. Brodę wraz z wąsami zdążyłem już zapuścić natychmiast po wyrzuceniu mnie jako polskiego oficera i „pomieszczyka” z pracy. Znało mnie wielu funkcjonariuszy NKWD pracujących na stacji, przez którą trzeba było przechodzić do drugiego wroga, ale tam nie było Sybiru. Zmieniłem więc w dokumentach sobie i żonie nazwiska na: Łabęcki Leon i Łabęcka Irena.*

*Jakimś cudem udało się. 20.04.1940 r. byliśmy już w Szebniach k. Jasła u teściowej, która tam była nauczycielką. Po dwóch miesiącach zamknęło mnie gestapo. Zakosztowałem metod śledztwa zbirów hitlerowskich. Cudem udało się żonie mojej wydrzeć mnie z więzienia. Oczywiście mimo wymyślnych tortur nie przyznałem się oprawcom, że jestem oficerem. Groziła za to kara śmierci. Za żadną cenę nie mogłem się też przyznać, że od października 1939r. jestem zaprzysiężonym członkiem Służby Zwycięstwu Polsce.*

*Sytuacja w Generalnym Gubernatorstwie stanowiła obraz pośredni pomiędzy tym, co działo się na terenach włączonych do Rzeszy a sytuacją Polaków za tak zwaną „linią Curzona”, gdzie panowało NKWD.*

*Czy na tle tych krótkich szkiców możesz sobie wyobrazić wigilię u nas na tzw. „wolności” taką, jaką urządzaliście sobie w Oflagu? Samo zgromadzenie się w grupie kilku osób stanowiło pretekst do wkroczenia gestapo czy NKWD. Śpiewać „Boże coś Polskę” można było jedynie w myślach. Nauka mogła odbywać się tylko konspiracyjnie, i to w grupkach po 2-3 osoby. Nie mogło być mowy, ażeby dyskutować o polskiej literaturze, sztuce, historii, organizować przedstawienia, wieczornice...*

*Postanowiłem, że u wroga nie będę pracować. I tak wytrwałem do końca. Co dzień groziła mi kara śmierci za to, że nie zgłosiłem się na samym początku, iż jestem oficerem. Jak zwykle Polacy z upływem miesięcy w niewoli znachodzili jakieś furtki. Powiedziałbym, że nawet przyzwyczajano się do łapanek gestapowskich na ulicach, znachodzono sposoby na wydobywanie się z kotłów, do aresztowań, do zsyłek do obozów koncentracyjnych, czy do afiszów z wykazami osób rozstrzelanych decyzją „Der SS und Polizeiführera”. Reakcja przeciętnego człowieka mogła polegać jedynie na zaciskaniu pięści lub cichym przeklinaniu hitlerowców...*

*W „naszej” niewoli ani na chwilę nie przestawała funkcjonować walka podziemna. (Ja należałem do AK od 30.10.1939 r. do 26.07.1944 r.). Nie jestem w stanie policzyć, ile razy nocami (a był zakaz poruszania się w nocy po ulicach) przekradłem się pomiędzy zabudowania ogrodami, ażeby wykorzy-*

stując nieuwagę patroli niemieckich czy Bahnschutzpolizei wślizgnąć się do pociągu towarowego i przedostać się z Przemyśla do Lwowa celem wykonania zadania konspiracyjnego. Wielokrotnie patrole mnie ścigały, byłem ostrzeliwany, kilkakrotnie aresztowano mnie jako Żyda. Na szczęście po sprawdzeniu – zwalniano mnie. Szereg razy ostrzeliwałem się patrolom z pistoletu, gdy nie było już innego wyjścia. Wreszcie w początkach lipca 1944 r. żandarmeria polowa niemiecka złapała mnie w czasie przekradania się przez front pod Sądową Wisznią (w połowie drogi pomiędzy Przemyślem a Lwowem). Zdażyłem w ciemnościach odrzucić pistolet. Zapchano mnie na noc do kopca na ziemniaki wraz z 2 czy 3 nieznanymi mi mężczyznami. W nocy rękoma wygrzebaliśmy w ścianie dziurę i uciekliśmy.

Dzień wyzwolenia przez Armię Czerwoną – to zmiana okupanta z aresztowaniami włącznie, masowe aresztowania członków AK i wywóz do łagrów na Sybir. Gdy ten fakt na własne oczy zobaczyłem w Przemyślu, uciekając przed NKWD, zgłosiłem się do LWP. Pomimo wielokrotnych szykan ze strony informacji wojskowej nie przyznałem się od lipca 1944 r. do 1990 r., że należałem do AK Ujawniłem się dopiero w 1990 r. i zostałem zweryfikowany przez Urząd d/s Kombatantów.

Gdy rozpocząłem czytać Twoją książkę, w pierwszej wersji zamierzałem dokonać zestawień według dat lub co najmniej miesięcy: co działo się w niewoli „za drutami oflagów”, a obok tego szkic skrótowy tego, co działo się w niewoli „na wolności”. Zmuszony jednak byłem zrezygnować, gdyż musiałbym opracować nową książkę o objętości co najmniej zbliżonej do „Za drutami oflagów”. Dla jaśniejszego obrazu podaję: od grudnia 1944r. byłem dowódcą 1 batalionu 26 pp, a pełniąc tę funkcję przeszedłem cały szlak bojowy pułku.

Oto dla przykładu porównanie kilku dni Twojej niewoli i mojej „wolności”:

15-18.04.1945 r. Ty za drutami w Murnau Ja – w bardzo krwawych walkach o przełamanie obrony niemieckiej nad Nysą. Pułk nasz stracił – 150 zabitych i około 300 rannych.

25.04.1945 r. Ty w Murnau – nieco podniecony plotkami polityczno-wojennymi Ja – w ciężkich walkach pod Dreznem, bez zaopatrzenia, na wyczerpaniu, w okrążeniu. W zażartych walkach z wyborowymi dywizjami SS Feldmarszałka Schoernera, usiłującymi przedrzeć

26-28.04.1945 r. Ty – w Murnau.

Główne Wasze zmartwienie to dyskusje,  
oczekiwanie wolności, fasowanie  
paczek UNRA.

8.05.1945 r. Wy – świętowaliście  
zwycięstwo nad III Rzeszą.

Prosiłeś, ażebym jako żołnierz wypowiedział się. Pozwoliłem więc sobie przytoczyć kilka moich gorzkich refleksji. Oto losy polskich oficerów: tych w niewoli – za drutami oflagów i tych na wolności. A wydaje mi się, że i jedni, i drudzy jednakowo nienawidzili wrogów: tych brunatnych i tych czerwonych, niczym nie różniących się w swoich zamiarach i metodach postępowania z Polakami, a zwłaszcza z oficerami...

Oczywiście, tak się złożyło, że w korpusie oficerów naszych po klęsce września powstały dwa światy: tych za drutami oflagów i tych na „wolności”. Tych za drutami oflagów, tysiące nieszczęśliwych inteligentnych oficerów, zze-

się z odsieczą Hitlerowi okrążone-  
mu w Berlinie.

Ja – jako dowódca straży przedniej  
26pp, około 800 ludzi z artylerią bez  
amunicji, dniem i nocą nacierałem  
przeciw oddziałom n-pla pancernym  
i zmotoryzowanym, ażeby przebić  
się z okrążenia, bo niewola równa-  
ła się okrutnej śmierci. Przez cały  
czas bombardowany przez samolo-  
ty i artylerię straciłem około 360  
zabitych, nie wiem, ilu rannych.  
W nocy z 27/28 zostałem ciężko  
ranny. 28.04. wydarliśmy się  
z okrążenia. Pułk nasz w chwili  
forsowania Nysy 16.04.45 r. liczył  
2500 żołnierzy. Po wyjściu z okrą-  
żenia było 672. Miałem w swoim  
batalionie 34 oficerów. Pozostało  
3, reszta zabici i ranni.

My – jeszcze od 8 do 11.05.45 r.  
toczyliśmy dalej ciężkie boje z for-  
macjami SS, które odmówiły kapi-  
tulacji i usiłowały przedrzeć się do  
strefy amerykańskiej. Cała 2 Armia  
WP w tej części wojny już „po woj-  
nie” straciła 1202 zabitych, nie li-  
cząc rannych.

*rała przykra niewola, przymusowa bezczynność polityczno-wojskowa. Ale nikt z nich nie musiał się ukrywać ze swoimi kwalifikacjami naukowymi, stopniem wojskowym. (Im wyższy stopień wojskowy tym lepiej, a przeciwnie „na wolności”...). W zasadzie na co dzień istniało względne bezpieczeństwo osobiste. Teoretyczną ochronę stanowiła Konwencja Genewska. Na tzw. „wolności” posiadanie cenzusu naukowego, stopnia wojskowego – oficerskiego, a nie daj Boże do tego „drażliwego” nazwiska, jak Zamojski, Lubecki, Jagiełło itp., było przestępstwem, które uprawniało do bezkarnych szykan, nawet do mordowania... Ochrony nie było żadnej ani przed gestapo, ani przed KGB. Nikt z nas nie miał żadnych praw, gdy natomiast każdy przedstawiciel okupanta był wszechwładny. Oto przykład: 15.04.45 r. po rozpoczęciu ostatniej tzw. „wielkiej bitwy o Berlin” oficerowie informacji naszego pułku dowiedzieli się, że kpt. Jan Hrynkiewicz, mój kolega i przyjaciel, należał do Armii Krajowej. Najzwyczajniej zabrali go ze stanowiska dowodzenia kompanii, odprowadzili 100 m do lasu i zastrzelili. (A przecież w każdej chwili mógł zginąć od pocisku wroga). Dowiedzieliśmy się o tym fakcie później. W 1960 roku, przeglądając dokumenty naszej dywizji w CAW, znalazłem dokument, że kpt. Jan Hrynkiewicz wyrokiem sądowym został skazany na karę śmierci. Wyrok zatwierdził generał Karol Świerczewski dnia 8.05.1945 r. A więc w dniu zwycięstwa! Czy jesteś w stanie zrozumieć bezsens tej okrutnej fikcji?*

*Obojętnie, jakimi oczyma patrzeć będziemy na okupacyjny los: Wasz czy nasz, jedno z pewnością jest wspólne: była to wielka, okrutna tragedia dla Was i dla nas, której w żaden sposób porównać się nie da... Każdy z nas ma rację ze swojego punktu widzenia, a w dodatku nikt z nas nie miał zdecydowanego wpływu nawet na wybór kolei swojego losu w czasie tych ponurych 2077 dni okupacji!*

*Bardzo przepraszam, jeśli użyłem jakichś niefortunnnych sformułowań czy porównań...*

*Łączę serdeczne pozdrowienia i ucałowania  
(Leon)*

Szczerze mówiąc żałowałem, po wysłaniu, że napisałem ten list. Chyba zbyt gorzko „wynętrzyłem” się, przedstawiając tragiczne różnice pomiędzy niewolą „za drutami oflagów” a niewolą „na wolności” w okresie okupacji hitlerowsko-sowieckiej. Zauważyłem, że Andrzej był bardzo urażony po przeczytaniu mojego „zdania”, o które kilkakrotnie prosił. Szybko jednak zapomnieliśmy o nieporozumieniu, przyjaźń i zażyłość nasza wróciły do „normy”...